

ZLY

Kalabria #1

HELENA LEBLANC

ZLY

Kalabria #1



Litera Inventa

Copyright ©2023 by Helena Leblanc
Copyright ©2023 by Litera Inventa
Wydanie pierwsze, 2023

Redakcja: *Klaudia Jovanovska*
Pierwsza korekta: *Renata Nowak*
Druga korekta: *Dominika Bronk*
Skład i łamanie: *Michał Bogdański*
Projekt okładki: *Agnieszka Makowska*
Źródło obrazu: *pixabay.com (lassaffa)*
Druk i oprawa: *Drukarnia Sowa*
ISBN: 978-83-67355-06-3

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej fragmenty nie mogą być przedrukowywane ani w żaden inny sposób reprodukowane lub odczytywane w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora lub wydawcy.

© All rights reserved
studio_litera.inventa@outlook.com

Prolog

Październik 2018

Widzę światła. W las wchodzą ludzie z latarkami. Szukają mnie. Moi ludzie. Rozpoznaję ich po głosach. Marco, Marcello, Francesco i... nawet Luigi. Sam ich wybierałem i szkoliłem.

Moi ludzie. A raczej, to kiedyś byli moi ludzie. A Luigi był moim przyjacielem. A teraz Rodzina wydała na mnie wyrok śmierci, bo sprzeniewierzyłem się zasadom. Chowam się głębiej w lesie, zagrzebuję pod liście. Wcześniej natarłem się ziołową mieszanką, która ma zmylić psy gończe. Moja babcia przyrządziła ją dla dziadka, gdy ten ukrywał się w lasach przed bezpieką jeszcze w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. To stara rodzinna receptura. Leżę więc w takim zagłębieniu, pod liśćmi i gałęziami, i modłę się, żeby mnie nie znaleźli.

Jak nisko upadłeś, Domenico.

Moja śmierć nie byłaby lekka. Nie chcecie wiedzieć, co czeka bossa, który zdradził swoją Rodzinę. A jednak nie miałem wyboru. Nie miałem? Podobno każdy ma wybór. Otóż nie. Wybór ma ten, kto nie urodził się w mafii.

Ja, Domenico Luciano Buscetta, capo, szef kalabryjskiej mafii, ukrywam się w lesie przed własnymi ludźmi. Wróć! Ja, BYŁY szef kalabryjskiej mafii. Od wczoraj po prostu poszukiwany zbieg, człowiek, który już powinien być martwy, a przed śmiercią wycierpieć nieopisane męki. Moja śmierć ma być przestrożą dla innych, żeby nikomu nigdy nie przyszło do głowy postąpić podobnie jak ja. Zdradziłem swoją Rodzinę.

A wszystko przez kobietę. Brzmi banalnie, prawda? A wcale tak nie jest. Właściwie to nie mam już po co żyć, bo jedyna kobieta, na której kiedykolwiek mi zależało, i tak mnie nienawidzi i nigdy już nie zechce mieć ze mną nic do czynienia. Ale przynajmniej jest bezpieczna.

Tak. Najważniejsze, że ona jest bezpieczna. Nie znajdą jej. A nawet jeśli znajdą mnie, to i tak nie trafią na jej ślad, bo umrę z jej imieniem na ustach.

We Włoszech, nawet wśród przestępców, miałem złą sławę. Nazywano mnie *Il Male*, Złym. I wiercie mi, zasłużyłem na to miano. Byłem bezwzględny, okrutny i sprawiało mi to przyjemność. Upajałem się władzą, czułem się panem życia i śmierci. Prawie jak Bóg. Byłem nim, aż pojawiła się ona, odmieniła moje serce i odwróciła światopogląd o sto osiemdziesiąt stopni.

Słyszę ich. Zbliżają się. Są tuż-tuż. Opowiem wam moją historię, jeśli chcecie. Jeśli zdążę...

Rozdział I

Pomidory

Domenico

Półtora roku wcześniej, marzec 2017

Agricoltura di Bruzzese, Kalabria, Włochy

– Szefie, mamy za mało pracowników do zbioru pomidorów – poinformował mnie mój zaufany współpracownik, wpadając do domu w trakcie obiadu, czym zasłużył sobie na gniewne spojrzenie i pomruk niezadowolenia.

– Nigdy się nie nauczysz, że nie wolno mi przeszkadzać przy jedzeniu, Luigi? – warknąłem, obracając się w jego stronę. Moja kucharka, Paoletta, wymknęła się czym prędzej do kuchni.

– Przepraszam, szefie, myślałem... – Mój pracownik wyglądał na skruszonego.

– Od myślenia to ja tu jestem! – odburknąłem w jego stronę i zająłem się jedzeniem. Ciepłą jeszcze frittatę przegryzłem przepyszną bruschettą z masłem czosnkowym, podpiekaną na piecu według starego zwyczaju. *Jakie to jest dobre!* – krzyczały moje kubki smakowe. – Ale skoro już jesteś, to siadaj i częstuj się, starczy dla nas obu – zarządziłem. – Tylko morda w kubeł, dopóki nie zjem – dodałem groźnie.

– Ale Domenico... ja już jadłem – stwierdził Luigi. Gdybym nie znał go od dziecka, dawno zarobiłby już kulkę w łeb. Nikt nie irytował mnie tak jak on.

– Siadaj i jedz, bo Paoletta się obrazi – nakazałem mu, bo kucharka, która pracowała w domu mojego dziadka od zawsze, była

dla mnie jak stara ciotka. Wychowała mnie na prawdziwego Włocha, dumnego ze swojego dziedzictwa i uwielbiającego południową kuchnię.

Luigi posłuchał, nałożył sobie trochę frittaty na talerzyk, wziął jeden kawałek bruschetty i usiadł naprzeciw mnie z nieodgadnioną miną. Ale kiedy zaczął jeść, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wiedziałem, że chce się odezwać, ale ponieważ mu zabroniłem, myślałem o tym, co powie zaraz po posiłku. Wiedziałem, co sobie powtarza w głowie, prawie słyszałem te słowa wychodzące z jego ust. Myślałem, że tak dobrej frittaty i tak aromatycznej, chrupiącej bruschetty z domowego chleba nie jadł od dawna. A to nieprawda. W moim wiejskim domu w Bruzzese zawsze takie były. I on doskonale o tym wiedział, bo jadł je ze mną tutaj, kiedy obaj jeszcze byliśmy dziećmi. A potem wiele razy w ciągu następnych lat.

Luigi Mozza. Mój jedyny przyjaciel. Zналиśmy się od dwunastego roku życia, czyli od kiedy tylko przyjechałem z ojcem do południowej Kalabrii.

Moje wczesne dzieciństwo i pochodzenie były owiane w tych stronach tajemnicą. Ojciec, Luciano Buscetta, zadbał, by w Rodzinie nikt nie wiedział, skąd się tam wzięłem. A wszystko za sprawą jego zakazanego romansu z moją matką...

Prawdę mówiąc, do dwunastego roku życia nawet nie wiedziałem, że mam ojca. Ani tym bardziej, kim on jest. A potem to wszystko spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. I odtąd moje życie nigdy już nie wyglądało tak samo.

Znowu wspomniałem mamę. Od tamtej pory minęło jednak prawie dwadzieścia jeden lat. Przeszłość została daleko za mną.

- To było... takie dobre, jak nie z tej ziemi - powiedział Luigi od razu, kiedy tylko skończyłem jeść. Nie wytrzymałby ani chwili dłużej. On tak miał od zawsze. Jakby słowa rozsadały go od

środku, gdy ich nie wypowiedział... Nie wiem, jakim cudem ten papla jeszcze chodził żywy po świecie. Przecież gaduła i mafia to pojęcia, które się nawzajem wykluczają.

– To prawda. Paoletta przeszła dziś samą siebie – musiałem przyznać. – To, o czym chciałeś porozmawiać, Luigi? – spytałem w końcu.

– Nie ma kto zbierać pomidorów na farmie – powtórzył.

– Przecież wzięliśmy dotację z Unii Europejskiej na utworzenie nowych miejsc pracy. Nikt się nie zgłosił?

– Niewielu. I głównie obcokrajowcy. Urząd pracy przysłał nam samych imigrantów z północnej Afryki, którzy do niczego się nie nadają – odparł. – Sami byśmy wybrali lepszych z tych łodzi...

– To daj ogłoszenie za granicą – przerwałem mu. Nie lubiłem, jak poruszał pewne tematy, kiedy nie byliśmy w pracy.

– Ale jak? – Zrobił przestraszoną minę.

– Dobrze, ja to zrobię – westchnąłem, wiedząc, że ten głab nie zna żadnego języka poza włoskim, a i ojczystym mówi tylko z tym swoim paskudnym, południowym akcentem. Był wieśniakiem z dziada pradziada. Jego rodzina od pokoleń zajmowała się rolnictwem. I działalnością przestępczą, oczywiście. Ale to jakby przy okazji. Taka już jest nasza *Famiglia*¹. Nasza matka 'Ndràngheta. Interesy, interesami, ale ziemia i tradycja przede wszystkim.

Tradycja na Południu jest świętością. To dlatego tak oberwało się kiedyś mojemu ojcu. Luciano Buscetta nie postąpił zgodnie z wielowiekową rodzinną tradycją mariaży, które miały wzmacniać organizację. Wdał się w romans z pracownicą z zagranicy. Wyjechał za moją mamą do Polski i chciał tam z nią zostać. Biedak zakochał się tak, że prawie całkiem stracił głowę. I straciłby ją, gdyby nie jego ojciec, a mój dziadek, Domenico Buscetta. Dziadek był wielkim

1 wł. Rodzina.

capo. Najpierw stanął murem za swoim jedynym synem, a potem wziął go za fraki i sprowadził z powrotem do domu. A ja przez niego do dwunastego roku życia nie tylko wychowywałem się bez ojca, ale nawet nie wiedziałem o jego istnieniu.

Mama powiedziała mi o nim dopiero przed swoją śmiercią... A jemu o mnie. Może, gdyby nie ta jej decyzja, byłbym dzisiaj zupełnie kimś innym. A tak, chcąc nie chcąc, ale chyba bardziej nie mając wyboru innej ścieżki życiowej, zostałem bossem kalabryjskiej mafii, po moim ojcu i dziadku.

Historię zakazanej miłości moich rodziców znam tylko z ich opowiadań.

Luciano

34 lata wcześniej, lipiec 1983

Agricoltura di Bruzzese

W lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku miałem dwadzieścia pięć lat i życie przed sobą, jak to mówił mój ojciec, don Domenico Buscetta. Tata dotąd oszczędzał mnie raczej, bo miałem jeszcze starszego brata, Feliciano, który od najmłodszych lat był wdrażany w mafijną działalność. *Mnie w udziale przypadnie prowadzenie legalnych interesów Famiglii, ale dopiero, kiedy ustatkuję się i założę własną rodzinę.* Ojciec miał wielkie plany wobec obu swoich synów. Ale na razie pracowałem tam, gdzie nadawałem się najlepiej, czyli na rodzinnej farmie w Bruzzese.

Pomidory. Uwielbiałem je od zawsze. Cudowny smak passaty, sosu do pizzy czy spaghetti albo świeżych pomidorów z mozzarellą i bazylią. Od dziecka kochałem ten smak, a nigdzie nie rosły i nie dojrzewały takie pyszne jak na naszej farmie w Kalabrii. Naprawdę lubiłem tę pracę. Jednym z moich zadań było nadzorowanie robotników najemnych, których w sezonie pracowało u nas bardzo wielu. Większość była Włochami, ale zdarzali się też przyjezdni z zagranicy, zwłaszcza latem. I teraz właśnie przyjechała do nas mała grupa z Polski.

Polska... To był kraj, o którym niewiele się słyszało do czasu wyboru Jana Pawła II na papieża. Kraj zza żelaznej kurtyny, odległy, egzotyczny, zimny. I nagle pięć lat temu Polska pojawiła się na ustach wszystkich, nie tylko we Włoszech, ale chyba na całym świecie, kiedy szesnastego października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku wybrano Polaka na papieża. Ale dla mnie nadal to był obcy i niewiele znaczący kraj. Aż do tego dnia. Polacy wysiedli z autokaru, który przywiózł ich pod naszą farmę. To było

kilkanaście osób w różnym wieku. Mężczyźni i kobiety. I wtedy kogoś zobaczyłem...

Obok mnie przeszły dwie młode kobiety, mniej więcej w moim wieku. Blondynka i szatynka. Najpierw, rzecz jasna, zwróciłem uwagę na blondynkę, bo tak jasny kolor włosów nie trafia się co dzień na południu Włoch. Ale jej twarz nie przyciągnęła już mojej uwagi. Ot, taka kobieta, jakich wiele w magazynach dla panów, które skrupulatnie chowałem przed ojcem. Ładna, ale nie miała w sobie tego czegoś. Za to ta druga... Mój Boże, ona miała twarz anioła, a oczy tak niebieskie jak niebo latem. Jej skóra odbijała promienie słońca, które nadawały jej złotego odcienia, a usta miały kształt i kolor dojrzałego jabłka. Wyglądała tak, jak wyobrażałem sobie księżniczki z bajek czytanych mi w dzieciństwie przez mamę. Jakby zupełnie nie pasowała do tego miejsca.

Zebrałem jednak wszystkich nowych pracowników, bo takie było moje zadanie, i zaprowadziłem ich do budynku, gdzie mieli spać, żeby mogli zostawić tam swoje rzeczy. Potem oprowadziłem ich po farmie i pokazałem miejsca, po których mogą się poruszać i te, do których nie mają wstępu. A na końcu zaprosiłem ich na kolację. Słyszałem, jak ta Polka coś tłumaczy pozostałym. *Czyżby znała włoski?* Teraz jednak nie miałem czasu, żeby się tego dowiedzieć, bo musiałem złożyć w kuchni zamówienie na kolację dla nowych pracowników.

Na czas zbiorów Paoletta ściągała wszystkie kobiety ze swojej rodziny do pomocy w kuchni. Nie bez powodu. Wykarmić kilkadziesiąt osób pracujących fizycznie w polu to było nie lada wyzwanie. Nasza Paoletta doskonale gotowała i wiedziałem, że czeka nas uczta dla podniebienia, ale ja tego wieczoru nie mogłem doczekać się tylko jednej rzeczy: rozmowy z piękną nieznajomą.

Wieczorem wszyscy zebrali się przy stołach, które stały na podwórzu przez całe lato. Dziewczyny z kuchni uwijały się jak

w ukropie, poganiane gromkim głosem Paoletty. Niedługo wszystko było gotowe. Mogliśmy zasiąść do kolacji.

Nasi stali współpracownicy i wszyscy Włosi byliśmy przyzwyczajeni do takiej formy posiłków i wieczornego spędzania czasu. Dla tych Polaków to było coś nowego. Widziałem to po ich minach i słyszałem, kiedy zaskoczeni zadawali pytania w obcym języku, najczęściej właśnie w stronę tej dziewczyny. Ale chyba im się spodobało, kiedy zrozumieli, że to nie żadna impreza, tylko zwykła kolacja, jaką będziemy razem jeść codziennie, dopóki będą u nas pracować.

My, Włosi, wymyśliliśmy „agrowczasy”, na długo zanim ten termin zaczął być w Europie modny. Po prostu od zawsze pracowaliśmy razem na roli, a po pracy wspólnie spędzaliśmy czas przy dobrym jedzeniu, winie i muzyce.

Kiedy wszyscy się już najedli, podszedłem do dziewczyny, której obecność nie dawała mi spokoju od kilku godzin. Nigdy dotąd nie zależało mi tak bardzo, żeby zrobić na kimś dobre wrażenie.

– *Ciao, bellissima*² – przywitałem się najlepiej, jak umiałem.

2 wł. Cześć, piękna.

Agnieszka

Lipiec 1983

Właśnie skończyłam studia, a w Polsce dwudziestego drugiego lipca zniesiono stan wojenny. Znowu otwarto granice. Moja przyjaciółka dostała możliwość wyjazdu do Włoch, do pracy przy zbiorze pomidorów, ale bała się jechać tak daleko sama. To była południowa Kalabria, dla nas koniec świata... Namawiała mnie tak długo, aż się zgodziłam.

Z nas dwóch to ja skończyłam filologię włoską i dobrze znałam ten język. Monia studiowała romanistykę, bo od liceum kochała Francję i wszystko, co z nią związane. Ona była zafascynowana Wolterem i Verlaine'em, a ja Dantem i Petrarcką... Włochy kojarzyły mi się z wyjątkową kulturą, starą cywilizacją i niezwykłą sztuką. Zgodziłam się na ten wyjazd nie tylko dla Moniki, lecz także dlatego, żeby zobaczyć to wszystko. Obiecałyśmy sobie, że kiedy skończymy pracę, nie wrócimy od razu do Polski, tylko pozwiedzamy.

Nasz autokar toczył się przez całe północne Włochy, a ja mogłam napawać wzrok przepięknymi krajobrazami i błękitem nieba niespotykanym w Polsce. Już było gorąco, ale dopiero od Rzymu poczuliśmy, co znaczą południowe upały. Do Kalabrii było jeszcze daleko, ale kiedy droga zbliżyła się do wybrzeża, zachwyciłam się lazuruwą taflą wody, w której odbijały się promienie słoneczne. I nie mogłam przestać patrzeć.

W sumie przejechaliśmy ponad dwa tysiące dwieście kilometrów w ciągu dwóch dni. Kiedyś to byłaby dla mnie niewyobrażalna odległość. Najdłuższa podróż, jaką dotąd odbyłam, to czterysta kilometrów nad Bałtyk. Ale widoki za oknem i miłe towarzystwo, a przede wszystkim perspektywa przygody powodowały, że nie czułam zmęczenia ani znużenia, a jedynie ekscytację.

Na miejsce przyjechaliśmy późnym popołudniem. Przywitało nas dwóch bardzo sympatycznych Włochów, z których jeden

ciągle gapił się na Monikę. W sumie mogliśmy się tego spodziewać. Monia była jasną blondynką, a taka musiała mieć we Włoszech powodzenie. Ona chyba też nie miała nic przeciwko zainteresowaniu przystojnego bruneta, bo ciągle się do niego uśmiechała. Ja wołałam udawać, że ich nie widzę. Tak czułam się bezpieczniej.

Pamiętałam, co mówiła mi mama przed wyjazdem. Że Włosi tylko czyhają na to, żeby uwieść piękną jasnowłosą Słowiankę. Nie zamierzałam ułatwiać im zadania, nawet jeśli nie podejrzewałam, żeby ktokolwiek się mną zainteresował. Przecież ja nie byłam blondynką. Wyglądałam zupełnie przeciętnie. Miałam za to przewagę nad pozostałymi uczestnikami naszej „wycieczki”. Tylko ja znałam dobrze włoski, więc od początku tłumaczyłam słowa Włochów i wszyscy zwracali się do mnie z pytaniami. Tak dowiedzieliśmy się, gdzie mamy spać, co będziemy robić i że jesteśmy zaproszeni na wspólną kolację pod gołym niebem. To było coś!

Wieczorem, kiedy zdążyliśmy się już ulokować w pokojach, rozpakować i odświeżyć, całą grupą poszliśmy na kolację. Jakie było moje zdziwienie, kiedy się okazało, że posiłek wygląda jak takie małe polskie wesele. Były długie stoły, które mogły pomieścić w sumie z pięćdziesiąt osób, do tego dużo jedzenia i... muzyka. Prawdziwa włoska muzyka, grana na żywo. Nie chciałam tego jeszcze przyznać, nawet sama przed sobą, ale zaczynało mi się tam naprawdę bardzo podobać.

Zaraz po kolacji podszedł do mnie drugi z tych Włochów, którzy nas dzisiaj przyjęli.

– *Ciao, bellissima* – przywitał się.

Cześć, piękna? Jaka piękna? – zastanowiłam się i obróciłam za siebie, żeby sprawdzić, czy tam nie stoi Monika, bo to musiał być tekst do niej. Ale nie. Moniki za mną nie było, za to Włoch, na początku trochę dezorientowany moim zachowaniem, chyba odzyskał rezon, bo powtórzył:

– *Ciao, bellissima! Va bene*³

– Do mnie mówisz? – spytałam, patrząc mu w oczy. Był bardzo przystojny. Miał czarne włosy, ciemne oczy, śniadą cerę i był sporo wyższy ode mnie. Normalnie zmiękłyby mi kolana, ale nie rozumiałam, co się dzieje, dlatego wolałam zachować czujność.

– Tak, do ciebie, ślicznotko – powtórzył.

– Mam coś przetłumaczyć? – spytałam znowu, doszukując się jakiejś roli dla siebie w tym przedstawieniu.

– Nie. Chciałbym wiedzieć, jak masz na imię – odpowiedział. – Bo ja jestem Luciano – dodał, wyciągając do mnie rękę.

– Agnieszka – przedstawiłam się, delikatnie ściskając jego dłoń.

– Agnese – dodałam po włosku, żeby zrozumiał, co to za imię.

– Agnesska? – spytał, śmiesznie wymawiając moje imię.

– *Si*⁴.

– A więc mówisz po włosku? – zagadał niezbyt inteligentnie. No bo przecież słyszał, że mówię. Rozmawiałam z nim.

– Potrzebujesz czegoś ode mnie, Luciano? – dociekałam.

– Tak. Mogę prosić cię do tańca?

– Możesz – zgodziłam się w odruchu spontaniczności.

Wszystko mi się tam podobało. Klimat, jedzenie, muzyka, atmosfera... i ten Włoch, Luciano. On też mi się podobał. Kiedy tańczyłam z nim tego wieczoru, czułam się tak, jakbym była Kopicuszką na balu z księciem. Wszystko się zgadzało, poza jednym. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Luciano nie jest księciem, a jego rodzina to banda potworów. Byłam oczarowana i wydawało mi się, że przyjechałam zbierać pomidory do raju na ziemi.

3 wł. Cześć, piękna. Jak się masz/wszystko w porządku?

4 wł. tak.

Luciano

Bruzzese, lipiec 1983

Musiałem się wygłupić, pytając, czy zna włoski, kiedy przecież ze mną rozmawiała, ale przy tej dziewczynie czułem się, jakbym stracił rozum. Zapomniałem języka w gębie, tak na mnie działała jej słodycz i łagodność. Ale kiedy poprosiłem ją do tańca, zgodziła się. Tańcząc z nią, miałem wrażenie, że jesteśmy tam sami. Że nie ma mojego domu, podwórka, farmy, współpracowników, robotników, brata, taty... No właśnie. A byli. Nawet jeśli w tamtym momencie w ogóle mnie to nie obchodziło.

Kiedy odprowadziłem ją do stolika, uśmiechnęła się do mnie.

– Dziękuję ci za miły taniec, Agnese – powiedziałem i skłoniłem się z galanterią, tak jak kiedyś nauczyła mnie mama. Ona nie pochodziła ze wsi. Była damą z wielkiego miasta i pewnie czułaby się zawiedziona, wiedząc, co wyrosło z jej synów.

– Ja również ci dziękuję, Luciano – odparła Agnieszka, która najwyraźniej nie zauważyła moich wewnętrznych rozterek.

– Widzimy się jutro w pracy. Dobranoc – dodałem, choć czułem, że wcale nie mam ochoty się z nią żegnać.

Od następnego dnia widywałem Agnieszkę codziennie. Specjalnie zorganizowałem pracę tak, żebym mógł ciągle przebywać blisko niej. Nasze obowiązki nie należały do lekkich, ale ja byłem do tego przyzwyczajony. Musiałem też przyznać, że zatrudnieni Polacy, choć nienawykli do klimatu, byli bardzo pracowici, aż zawstydzali Włochów.

W czasie pracy rzucałem tylko ukradkowe spojrzenia w stronę dziewczyny, ale w przerwach rozmawialiśmy. Opowiedziała mi o swoich studiach, o tym, dlaczego wybrała język włoski i co ją tak pociąga we Włoszech. Dowiedziałem się od niej więcej o swoim kraju i kulturze niż przez wszystkie lata w szkole. Bo też

jej chciałem słuchać, a nauczycieli niekoniecznie. Wtedy tylko matematyka interesowała mnie na tyle, żeby w ogóle skończyć średnią szkołę.

Wieczorami, po kolacji, zawsze prosiłem Agnieszkę do tańca. Poruszając się w rytm muzyki, wpatrywaliśmy się w siebie coraz intensywniej, a ona nigdy nie dała mi odczuć, że uważa mnie za kogoś nieodpowiedniego dla siebie. Mimo że była wykształcona, a ja nie. Mimo że różniło nas wiele, dzieliły tysiące kilometrów, język, kultura... i Rodzina, o czym ona nie miała pojęcia.

Wrzesień 1983

Tak minęły dwa miesiące i ze strachem zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że ona niedługo wyjedzie... W dodatku tata i Feliciano – a podejrzewam, że to mój brat doniósł ojcu – też już zrozumieli, że coś się ze mną dzieje, bo pewnego wieczoru pod koniec września miałem rozmowę wychowawczą z ojcem.

– Słyszałem, że zwróciłeś uwagę na jedną z polskich robotnic. – Mój ojciec nie owijał w bawełnę, kiedy trzeba było mnie opieprzyć albo przywołać do porządku.

– To za dużo powiedziane, tato – próbowałem się bronić. – Dziewczyna jest ładna, trudno nie zwrócić uwagi, a żal nie spróbować szczęścia, nie sądzisz? – Chciałem odwrócić kota ogonem, żeby ojciec myślał, że zależy mi tylko na zabawie, choć pierwszy raz w życiu wcale tak nie było. Zakochałem się. I dotąd nie tknąłem Agnieszki. Pozwoliła mi się tylko pocałować, a ja i tak uważałem się za wybrańca niebios.

– Jeśli o to chodzi, to korzystaj śmiało, synu – zarechotał ojciec.
– Masz rację, takich jasnych ślicznotek u nas nie ma.

– To dobrze, że nie masz nic przeciwko, tato. Przecież oni nie-
długo wyjeżdżają – stwierdziłem. – A Feliciano po prostu jest za-
zdrosny, że mam większe powodzenie od niego – dodałem.

– Twój brat zajmuje się poważniejszymi sprawami niż uprawa
pomidorów i podrywanie pracownic. – Ojciec spojrział na mnie
surowo. – Ale ty też postaraj się być godnym nazwiska Buscetta.

– A nie jestem? – spytałem z żalem. Przecież dawałem z siebie
wszystko w pracy, chcąc, żeby ojciec był ze mnie dumny. Farma
prosperowała wyśmienicie.

– Jesteś taki sam jak wasza matka, Luciano... – westchnął mój
tata. – Chcesz być ostatnim uczciwym w tym nieuczciwym świecie.
Dlatego dla ciebie wybrałem inną ścieżkę kariery. Ale to nie ozna-
cza, że masz wolną rękę. Musisz być odpowiedzialny za rodzinę
i przynieść jej chlubę.

– Postaram się, tato – odparłem pokrzepiony. Nie zamierzałem
jednak rezygnować z Agnieszki.

Agnieszka

Bruzzese, lipiec 1983

Luciano okazał się młodszym synem właściciela farmy i to on nas nadzorował oraz pracował z nami w polu. On też dbał o wszystkie nasze potrzeby. Siłą rzeczy spędzaliśmy razem bardzo dużo czasu. A ponieważ ciągle mnie zagadywał, rozmawiałam z nim. I, co zaskakujące, okazał się całkiem dobrym słuchaczem. Zainteresowanym, uważnym. Z czasem zauważyłam, że sama mam ochotę z nim rozmawiać. Zaczęłam opowiadać mu o swoich zainteresowaniach, o tym, co lubię we Włoszech, dlaczego wybrałam ten kraj i język na przedmiot studiów.

Szybko zbliżyliśmy się do siebie, nie dało się inaczej. Każdego wieczoru po kolacji Luciano prosił mnie do tańca, a potem odprowadzał do stolika i całował w rękę. Ten rytuał sprawił, że zaczęłam tego oczekiwać. Nawet nie zauważyłam, kiedy nasze przyjacielskie rozmowy stały się bardziej intymne, a jego dotyk zaczął na mnie oddziaływać inaczej, niżbym się tego spodziewała na początku.

Coraz częściej budziłam się w nocy, nie mogąc spać, i choć zganiałam winę za to dziwne samopoczucie na upał, w głębi duszy dobrze wiedziałam, że wcale nie chodzi o pogodę w Kalabrii. Budziłam się, bo śnił mi się Luciano. Co noc miałam ten sam sen. On zakradał się do mojego pokoju, budził mnie i wyciągał za rękę na dwór, a potem zabierał do oliwnego gaju. Tam opierał o drzewo i całował, napierając całym ciałem na moje, żebym czuła, jak mnie pragnie. A ja czułam. Czułam to tak, że budziłam się spocona, z szybko bijącym sercem, modląc się, żeby on naprawdę nie wpadł na taki pomysł, bo zdawałam sobie sprawę, że miałabym problem, żeby mu się oprzeć. A może podświadomie tego pragnęłam i dlatego ciągle mi się to śniło? Kto wie...

Wrzesień 1983

Kiedy zostały mi dwa tygodnie do wyjazdu, Luciano zaczął się dziwnie zachowywać. Chodził zamyślony, a raz to wręcz wyglądał na przestraszonego. Kiedy go spytałam, co się dzieje, zbył mnie milczeniem, ale zaraz potem przeprosił, błagając o wybaczenie za to, że nie umie odpowiedzieć na moje pytanie. W końcu przycisnęłam go mocniej, bo wiedziałam, że sam mi nie powie, w czym rzecz. Wpadłam na pomysł, najgłupszy z możliwych. Po kolacji zaprosiłam go na spacer i zabrałam do tego gaju oliwnego. Powiecie, że głupia... Może i głupia, ale nie mogłam patrzeć na to, jak on się męczy, zwłaszcza że nie wiedziałam czym. Pomyślałam, że kiedy będziemy sami, z dala od wścibskich oczu, to on się otworzy.

– Luciano, powiedz mi, proszę, czemu tak dziwnie się zachowujesz? – spytałam.

Spojrzał na mnie zdesperowanym wzrokiem, ale po chwili odpowiedział:

– Bo cię kocham, Agnieszko. I nie wyobrażam sobie, co ze mną będzie, kiedy wyjedziesz... – westchnął ciężko. A potem, taką oniemiałą, wziął mnie w ramiona i pocałował. Nie zaprotestowałam. Nie mogłabym. Sama tego chciałam. – Nie wiem, co zrobić, żebyśmy nie musieli się rozstawać – dodał po chwili, kiedy już oderwał się od moich ust.

– Ja nie mogę tu zostać – stwierdziłam ze smutkiem. – Rodzice na mnie czekają. Te pieniądze, które zarobiłam u was, są nam potrzebne. No i jeśli nie wrócę, oni będą mieć problemy z władzami.

– Rozumiem... – Spuścił głowę. – A gdybym pojechał z tobą? – spytał wtedy.

– Jak to?

– Do Polski, na trochę chociaż. Skoro ty nie możesz tu zostać, a ja chciałbym spędzić z tobą więcej czasu...

– A możesz tak wyjechać ze swojego kraju, kiedy chcesz? – zdziwiłam się.

– Oczywiście. A ty nie? – Był zaskoczony jeszcze bardziej niż ja.

– No, w Polsce nie można... – wyjaśniłam mu. – Po powrocie muszę oddać paszport i jeśli będę chciała wyjechać znowu, muszę o niego wnioskować.

– To przecież niezgodne z prawem! – zaprotestował żywo, a ja się zaśmiałam. Widać, że wychował się w innym, wolnym kraju.

– Ale tak jest, Luciano.

– W takim razie tym bardziej to ja pojedę z tobą – zdecydował. – Ale pamiętaj, Agnieszko, nikomu o tym ani słowa – dodał konspiracyjnym szeptem.

– Nie martw się. Nikomu nie powiem – obiecałam.

Nie wiedziałam, po co te tajemnice. Przecież Luciano był wolnym człowiekiem w wolnym kraju. Mógł jeździć, gdzie chce i kiedy chce. Ale skoro mu obiecałam, zamierzałam dotrzymać słowa. Wtedy on oparł mnie o drzewko oliwne i pocałował jeszcze raz, ale inaczej niż przedtem. Tak, jak w moim śnie. Ciepło pojawiło się nagle w dole brzucha, a kiedy przycisnął się do mnie mocno, poczułam się, jakbym była z nim w innej rzeczywistości. Jakbyśmy byli sami. Ja bym już się mu oddała, ale on wcale nie nalegał.

– Kocham cię – powiedział mi wtedy. – I szanuję. Ożenię się z tobą, Agnieszko – obiecał. A mnie zamurowało.

– Jesteś pewien? – spytałam.

– Tak.

I co ja teraz powiem rodzicom? Pojechałam do pracy, a oprócz lirów przywiozłam Włocha?

W piątek, trzydziestego września, zakończyliśmy główny sezon pomidorowych zbiorów i następnego dnia nasz autobus miał wyjechać do Polski. Wieczorem odbyła się wielka kolacja pożegnalna,

z muzyką i tańcami. Luciano zatańczył ze mną jednak tylko raz. A potem odprowadził mnie do stolika i po drodze powtórzył szeptem:

– Pamiętaj, nie wydaj nas, choćby nie wiem co.

No przecież mu obiecałam.

Październik 1983

Rano właściciel farmy rozliczył się z nami za pracę. Wszyscy byliśmy zadowoleni z płacy. Dla nas to były ogromne pieniądze, których nigdy nie zarobilibyśmy w Polsce. W dodatku wynagrodzenie jakby za wakacje, bo tak wspominaliśmy te dwa miesiące we Włoszech.

Wyjechaliśmy z Bruzzese w sobotę wieczorem. Luciano dołączył do nas zaraz za wsią. Po prostu zatrzymał autokar, a zdziwiony kierowca myślał, że ktoś czegoś zapomniał.

– Wszystko w porządku, pojedę z wami – powiedział.

Kiedy Monika zobaczyła Luciana w autobusie, przesiadła się na inne miejsce, mówiąc do mnie:

– Widzę, że ze zwiedzania nici.

– Chyba dobrze widzisz, Moniu. – Puściłam do niej oko. – Luciano chce, żeby przedstawić go moim rodzicom.

– Ooo, to wygląda na poważną sprawę – zaśmiała się moja koleżanka. Wyglądało. Tylko wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, jak poważną. I jakie będą tego konsekwencje.

Pojechałam do Włoch, żeby zbierać pomidory, a przywiozłam narzeczonego. Tak to wyglądało w oczach moich rodziców. A ja? Byłam po prostu szczęśliwa. Wtedy jeszcze byłam.